

STEPHEN KING

ZNALAZIONE NIE KRADZIONE



ALBATROS

1978

– Pobudka, geniuszu.

Rothstein nie chciał się obudzić. Miał zbyt przyjemny sen. Śniła mu się pierwsza żona parę miesięcy przed tym, zanim została jego pierwszą żoną: siedemnastoletnia, idealna od stóp do głów. Naga i lśniąca. Oboje byli nadzy. On miał dziewiętnaście lat i brud za paznokciami, ale jej to nie przeszkadzało, przynajmniej jeszcze wtedy, bo w głowie roilo mu się od marzeń i tylko to ją interesowało. Wierzyła w te marzenia jeszcze mocniej niż on, i miała rację. We śnie śmiała się i chwytła go za tę część ciała, za którą najłatwiej złapać. Chciał się zagłębić w tym śnie, ale jakaś ręka zaczęła go szarpać za ramię i sen prysł jak bańka mydlana.

Nie miał już dziewiętnastu lat i nie mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu w New Jersey. Brakowało mu pół roku do osiemdziesiątych urodzin. Żył na farmie w New Hampshire, gdzie chciał zostać pochowany. W jego sypialni byli jacyś mężczyźni. Mieli na twarzach kominiarki: jeden czerwoną, drugi niebieską, a trzeci kanarkową. Gdy ich zobaczył, próbował

uwierzyć, że to kolejny sen – że tamten uroczy zmienił się w koszmar, jak to czasem bywa – wtedy jednak ręka puściła jego ramię, chwyciła za bark i ściągnęła go na podłogę. Uderzył się w głowę i krzyknął.

– Zamknij się – powiedział ten w żółtej masce. – Może go ogłuszymy?

– Patrzcie, jak dziadkowi sterczy pałka. – Ten w czerwonej wskazał palcem. – Musiał mieć niezły sen.

– To na sikanie – stwierdził ten w niebieskiej, który wcześniej potrząsnął Rothsteinem. – W tym wieku tylko wtedy staje. Mój dziadek...

– Stul pysk – odparł ten w żółtej. – Nikogo nie obchodzi twój dziadek.

Chociaż Rothstein był oszołomiony i wciąż otulony rzedniejącą kotarą snu, wiedział, że ma kłopoty. W jego myślach pojawiło się jedno słowo: napad. Spojrzał z podłogi na trio, które zmaterializowało się w jego sypialni. Bolała go głowa (z powodu leków przeciwzakrzepowych będzie miał wielki siniak na prawej skroni), a serce o niebezpiecznie cienkich ściankach waliło o lewy bok klatki piersiowej. Górowali nad nim trzech mężczyźni w rękawiczkach, ciepłych kraciastych kurtkach i tych strasznych kominiarkach. Włamywacze, a on był tu sam na zadupiu. W promieniu wielu kilometrów ani żywej duszy.

Pozbierał myśli, na ile potrafił, odegnał sen i powiedział sobie, że sytuacja ma jeden plus: skoro nie chcą pokazać twarzy, to nie zamierzają go zabić.

Chyba.

– Panowie – powiedział.

Żółty parsknął śmiechem i wyprostował kciuk.

– Niezły początek, geniuszu.

Rothstein kiwnął głową, jakby to był komplement. Zerknął na zegar przy łóżku, który wskazywał kwadrans po drugiej nad ranem, a potem znowu spojrzał na Żółtego, chyba szefa tej bandy.

– Mam niewiele pieniędzy, ale chętnie wam je oddam, tylko nie róbcie mi krzywdy.

Powiał wiatr, jesienne liście zaszeleściły, uderzając o zachodnią ścianę domu. Rothstein wiedział, że piec grzeje po raz pierwszy w tym roku. Przecież dopiero co było lato.

– Z tego, co wiemy, masz znacznie więcej niż niewiele. – To mówił Czerwony.

– Cicho. – Żółty wyciągnął rękę do Rothsteina. – Wstawaj, geniuszu.

Rothstein ją chwycił, podniósł się chwiejnie, a potem usiadł na łóżku. Ciężko oddychał, ale był nader świadomy (samoświadomość przez całe życie była zarazem jego przekleństwem i darem), jak wygląda: stary człowiek w luźnej niebieskiej piżamie, który zamiast włosów ma już tylko białe chmurki popcornu za uszami. Tyle zostało z pisarza, który w tym samym roku, kiedy Kennedy został prezydentem, trafił na okładkę „Time’a”: JOHN ROTHSTEIN, GENIALNY SAMOTNIK AMERYKI.

Pobudka, geniuszu.

– Odsapnij sobie – powiedział Żółty. Z jego głosu przebijała troska, ale Rothstein w nią nie wierzył. – A potem pójdziemy do salonu, gdzie prowadzą dyskusje normalni ludzie. Nie śpiesz się. Otrzeźwiej.

Rothstein odetchnął powoli, głęboko, i serce trochę mu się uspokoiło. Usiłował pomyśleć o Peggy, o jej piersiach jak filiżanki do herbaty (małych, lecz idealnych), o jej długich, gładkich nogach, ale sen już zniknął, tak samo jak Peggy, która

teraz była starą raszplą i mieszkała w Paryżu. Za jego pieniądze. Przynajmniej Yolande, jego drugie podejście do małżeńskiej szczęśliwości, umarła, więc przestała brać alimenty.

Czerwony wyszedł z pokoju i wkrótce Rothstein usłyszał, jak przetrząsa mu gabinet. Coś upadło. Szuflady otwierały się i zamykały.

– Już ci lepiej? – zapytał Żółty, a kiedy Rothstein kiwnął głową, dodał: – No to chodźmy.

Rothstein pozwolił zaprowadzić się do niewielkiego salonu. Po jego lewej ręce siedł Niebieski, a po prawej Żółty. Przeszukiwanie gabinetu trwało. Wkrótce Czerwony otworzył szafę, odsunął na bok dwie marynarki oraz trzy swetry i odsłonił sejf. To nieuniknione.

W porządku. Byłoby zostawili notesy, ale po co mieliby je brać? Takich łobuzów interesują tylko pieniądze. Pewnie nawet nie potrafią czytać nic trudniejszego niż listy do redakcji w „Penthousie”.

Tylko że Rothstein nie miał pewności co do tego w żółtej masce. Ten brzmiał jak ktoś wykształcony.

W salonie paliły się wszystkie światła, a zasłony nie były zaciągnięte. Sąsiedzi, którzy akurat nie spali, zastanawialiby się, co się dzieje w domu starego pisarza... gdyby miał sąsiadów. Najbliżsi mieszkali trzy kilometry stąd, przy głównej szosie. Rothstein nie miał przyjaciół, nikt go nie odwiedzał. Akwizytorów posyłał do diabła. Był po prostu takim dziwnym staruszką. Pisarzem na emeryturze. Pustelnikiem. Płacił podatki i nikt go nie nachodził.

Żółty i Niebieski doprowadzili go do fotela naprzeciwko rzadko włączanego telewizora; Rothstein nie usiadł od razu, więc Niebieski pchnął go na siedzenie.

– Spokojnie! – rzucił ostro Żółty i Niebieski cofnął się, coś tam mamrocząc. Czyli rzeczywiście to Żółty tu rządził. To on był przywódcą stada. Pochylił się nad Rothsteinem, oparł dłonie na nogawkach sztruksów. – Chcesz coś sobie chlapnąć na uspokojenie?

– Jeśli chodzi o alkohol, to nie piję od dwudziestu lat. Zalecenie lekarza.

– Brawo. Chodzisz na mityngi?

– Nie byłem alkoholikiem – odparł Rothstein rozzłoszczony. Chyba zwariował, że wścieka się w takiej sytuacji... A może wcale nie? Kto to wie, jak należy reagować, kiedy faceci w kolorowych kominiarkach wyciągną cię z łóżka w środku nocy? Zastanawiał się, jak skonstruowałby taką scenę, i nie miał pojęcia. Nie pisywał o takich sytuacjach. – Ludzie od razu zakładają, że w dwudziestym wieku każdy biały pisarz na pewno jest alkoholikiem.

– No dobrze, dobrze – powiedział Żółty, jakby uspokajał naburmuszone dziecko. – Wody?

– Nie, dziękuję. Chcę, żebyście sobie poszli, więc będę z wami szczerzy. – Rothstein zastanawiał się, czy Żółty zna najbardziej podstawową zasadę społecznej interakcji: kiedy ktoś mówi, że będzie szczerzy, to zwykle znaczy, że zacznie kłamać szybciej, niż koń galopuje. – Mój portfel leży na komodzie w sypialni. Jest w nim osiemdziesiąt parę dolarów. Na kominku stoi czajnik z ceramiki... – Wskazał palcem. Niebieski się obrócił, ale Żółty nie. Żółty nadal przyglądał się Rothsteinowi, a jego spojrzenie zza maski było niemal rozbawione. Nie działała, pomyślał Rothstein, lecz się nie poddawał. Teraz, gdy już się rozbudził, nie tylko się bał, ale był wkurzony, chociaż wiedział, że lepiej tego nie okazywać. – Tam trzymam pieniądze na życie.

Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt dolarów. To wszystko, co jest w domu. Bierzcie i idźcie sobie.

– Pieprzony kłamco – odparł Niebieski. – Masz dużo więcej forsy, koleś. Wiemy o tym, możesz nam wierzyć.

Jakby to było przedstawienie teatralne, a powyższa kwestia była sygnałem, Czerwony zawołał z gabinetu:

– Bingo! Znalazłem sejf! I to duży!

Rothstein wiedział, że mężczyzna w czerwonej masce go odnajdzie, ale i tak zakłuło go serce. To głupota trzymać pieniądze w domu, nie miał na to wytłumaczenia oprócz niechęci do kart kredytowych, czeków, akcji i instrumentów finansowych, wszystkich tych kuszących łańcuchów, które przykuwają ludzi do przytłaczającej i ostatecznie niszczycielskiej amerykańskiej maszyny długów i wydatków. Ale teraz ta gotówka mogła się okazać jego zbawieniem. Gotówkę można odtworzyć. Ponad stu pięćdziesięciu notesów – nie.

– A teraz szyfr – powiedział Niebieski. Pstryknął palcami w rękawiczkach. – Dawaj.

Rothstein z wściekłości był niemal gotów się postawić – zdaniem Yolande gniew stanowił przez całe życie jego pozycję wyjściową („Pewnie nawet w cholernej kołysce”, powiedziała kiedyś) – ale jednocześnie był zmęczony i przestraszony. Gdyby się wzbraniał, wyciągnęliby z niego ten szyfr przemocą. Może nawet znowu dostałby zawału, tym razem niemal z pewnością śmiertelnego.

– Czy jeśli dam wam kod do sejfu, to weźmiecie pieniądze i pójdziecie?

– Panie Rothstein – odparł Żółty z życzliwością, która wydawała się szczerą (a przez to groteskową) – w pana sytuacji nie ma miejsca na targi. Freddy, idź po torby.

Rothstein poczuł powiew chłodnego powietrza, kiedy Niebieski, znany również jako Freddy, wyszedł przez drzwi kuchenne. Tymczasem Żółty znowu się uśmiechał. Rothstein zdążył znienawidzić ten uśmiech. Te czerwone wargi.

– No dalej, geniuszu, gadaj. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej będzie z głowy.

Rothstein westchnął, a potem wyrecytował kombinację do sejfu Gardall w gabinecie:

– Dwa obroty w lewo do trzydziestu jeden, dwa obroty w prawo do trójki, jeden obrót w lewo do osiemnastu, jeden obrót w prawo do dziewięćdziesięciu dziewięciu, a potem z powrotem do zera.

Czerwone usta pod maską rozchyliły się szerzej, ukazując zęby.

– Mogłem się domyślić. Twoja data urodzin.

Kiedy Żółty głośno przekazał szyfr mężczyźnie w gabinecie, Rothstein doszedł do pewnego nieprzyjemnego wniosku. Niebieski z Czerwonym przyszli tu po forszę, a Żółty pewnie też dostanie swój udział, ale to raczej nie pieniądze były głównym celem mężczyzny, który wciąż mówił do niego „geniuszu”. Jakby dla podkreślenia tej konkluzji, wrócił Niebieski w towarzystwie kolejnego chłodnego powiewu z dworu. Miał ze sobą cztery worki marynarskie, po dwa na każdym ramieniu.

– Posłuchaj. – Rothstein spojrzał Żółtemu w oczy i nie pozwolił odwrócić wzroku. – Nie rób tego. Oprócz pieniędzy w tym sejfie nie ma nic, co warto zabrać. Reszta to tylko czcza bazgranina, ale dla mnie jest ważna.

Z gabinetu dobiegł krzyk Czerwonego:

– Rany Julek, Morrie! Rozbiliśmy bank! Kurka wodna, tu jest kupa forsy! I to w kopertach prosto z banku! Jest ich

kilkadziesiąt!

Co najmniej sześćdziesiąt, mógłby dodać Rothstein, a może nawet osiemdziesiąt. A w każdej po czterysta dolarów. Od Arnolda Abla, mojego księgowego z Nowego Jorku. Jeannie spienięża czeka i przywozi koperty z gotówką, a ja chowam je w sejfie. Tylko że mam niewiele wydatków, bo najważniejsze rachunki również płaci Arnold w Nowym Jorku. Od czasu do czasu daję napiwek Jeannie, a na Boże Narodzenie listonoszowi, ale poza tym rzadko wydaję forszę. Jest tak od lat. A dlaczego? Arnold nigdy nie pyta, co robię z pieniędzmi. Może myśli, że mam układ z panienką na telefon albo i dwiema. Może myśli, że gram na kucykach w Rockingham.

A teraz najśmieszniejsze, mógłby powiedzieć do Żółtego (znanego również jako Morrie), sam też nigdy siebie o to nie pytałem. Ani o to, dlaczego zapełniam notes za notesem. Z pewnymi rzeczami tak po prostu jest.

Rothstein mógłby to wszystko powiedzieć, ale milczał. Nie dlatego, że Żółty by tego nie zrozumiał, ale przeciwnie – bo te jego uśmiechnięte czerwone usta podpowiadały, że owszem.

I że nic by go to nie obchodziło.

– Co tam jeszcze jest? – zawołał Żółty. Nie spuszczał wzroku z Rothsteina. – Pudełka? Pudełka z rękopisami? Takiej wielkości, jak mówiłem?

– Nie pudełka. Notesy! – odkrzyknął Czerwony. – Ten pieprzony sejf jest ich pełen.

Żółty uśmiechnął się, wciąż patrząc w oczy Rothsteina.

– Z odręcznym pismem? W ten sposób to robisz, geniuszu?

– Proszę – powiedział Rothstein. – Zostawcie je. Tego materiału nikt nie powinien oglądać. Jeszcze nie jest gotowy.

– I tak sobie myślę, że nigdy nie będzie. Ty tylko chomikujesz.

– Ów błysk w oku, błysk, w którym Rothstein widział coś irlandzkiego, teraz już znikł. – Bo nic już nie musisz wydawać, no nie? Nie goni cię konieczność finansowa. Dostajesz tantiemy za *Uciekiniera*. I za *Uciekinier staje do walki*. I za *Uciekinier zwalnia*. Słynna trylogia Jimmy’ego Golda. Stale wznawiana. Wciąż na akademickich listach lektur w całym naszym pięknym kraju. Paru wykładowców, co ciebie i Saula Bellowa mają za ósmy cud świata, załatwiła ci posłuszną publiczność studenciaków. Więc jesteś ustawiony, co? Po co ryzykować wydanie książki, która mogłaby nadszarpnąć tę twoją cudowną reputację? Lepiej się tu chować i udawać, że świat nie istnieje.

– Żółty pokręcił głową. – Mój drogi, przy tobie słowo „asekurantwo” nabiera nowego znaczenia.

Niebieski wciąż stał w progu.

– Co mam robić, Morrie?

– Idź do Curtisa. Spakujcie całość. Jeśli wszystkie notesy nie zmieszczą się do worków, to się rozejrzyjcie. Nawet taki odludek jak on musi mieć co najmniej jedną walizkę. Nie marnujcie czasu na liczenie pieniędzy. Chcę się stąd zmyć jak najszybciej.

– Dobra.

Niebieski – Freddy – wyszedł.

– Nie rób tego – powiedział Rothstein i przeraził się drżeniem własnego głosu. Czasami zapominał, jaki jest stary, ale nie dziś. O nie, dziś nie.

Mężczyzna o imieniu Morrie nachylił się ku niemu. Z otworów żółtej maski patrzyły zielonkawoszare oczy.

– Chcę się czegoś dowiedzieć. Jeśli będziesz szczery, to może zostawimy notesy. Będziesz ze mną szczery, geniuszu?

– Spróbuję – odparł Rothstein. – I ja nigdy tak o sobie nie

mówiłem. To „Time” nazwał mnie geniuszem.

– Ale sprostowania pewnie też nie wysłałeś.

Rothstein milczał. Ty sukinsynu, pomyślał. Ty pieprzony mądralo. Nic mi nie zostawisz, prawda? I nie ma znaczenia, co ci powiem.

– Jedno mnie interesuje: dlaczego, na Boga, nie mogłeś zostawić Jimmy’ego Golda w spokoju? Dlaczego musiałeś pogrążyć go w szambie?

To pytanie było tak niespodziewane, że w pierwszej chwili Rothstein nie miał pojęcia, o czym Morrie mówi, mimo że Jimmy Gold to jego najsłynniejszy bohater, dzięki któremu ludzie będą go pamiętać (jeśli w ogóle będzie za coś pamiętany). W tym samym artykule w „Time”, w którym okrzyknięto go geniuszem, nazwano Jimmy’ego Golda „amerykańską ikoną rozpacz w krainie dostatku”. W gruncie rzeczy pieprzenie, ale nakręcało sprzedaż książek.

– Jeśli uważasz, że powinienem był poprzestać na *Uciekinierze*, to nie jesteś jedyny.

Ale nie ma was wielu, mógłby dodać. *Uciekinier staje do walki* umocniło pozycję Rothsteina jako ważnego amerykańskiego pisarza, a *Uciekinier zwalnia* było ukoronowaniem jego kariery. Krytyka włożyła mu w dupę, książka nie schodziła z listy bestsellerów „New York Timesa” przez sześćdziesiąt dwa tygodnie. No i dostał za nią National Book Award, tyle że nie przyszedł jej odebrać. „*Iliada* powojennej Ameryki” – tak napisano w uzasadnieniu nagrody i nie chodziło tylko o ostatni tom, ale o trylogię jako całość.

– Nie mówię, że powinieneś był skończyć na *Uciekinierze* – odparł Morrie. – *Uciekinier staje do walki* był równie dobry, może nawet lepszy. Te książki były prawdziwe. Ale ta ostatnia?

Rany, co za szajs! Robota w reklamie? Serio, w reklamie?

Żółty zrobił coś, od czego Rothsteina ścisnęło w gardle, a jego żołądek zrobił się ciężki jak z ołowiu: powoli, niemal z czułością ściągnął żółtą kominiarkę, odsłaniając twarz młodego mężczyzny o urodzie bostońskiego Irlandczyka: rude włosy, zielonkawe oczy, blada cera, na której zamiast opalenizny zawsze będą oparzenia. No i te dziwne czerwone usta.

– Dom na przedmieściach? Ford sedan na podjeździe? Żona i dwójka dzieciaczków? Każdy się w końcu sprzedaje, to chciałeś powiedzieć? Każdy zje truciznę?

– W notesach...

Rothstein chciał powiedzieć, że w notesach są jeszcze dwie powieści o Jimmym Goldzie, które dopełniają cykl. W pierwszej Jimmy dostrzega nijakość swego podmiejskiego życia, więc zostawia rodzinę, pracę i wygodny dom w Connecticut. Odchodzi pieszo, bierze tylko chlebak i ubranie, które ma na sobie. Staje się starszą wersją tego chłopaka, który rzucił szkołę, odwrócił się od materialistycznej rodziny i po weekendzie pijaństwa w Nowym Jorku postanowił wstąpić do wojska.

– Co w notesach? – zapytał Morrie. – No, geniuszu, wypłuj to z siebie. Powiedz, dlaczego musiałeś go powalić na ziemię, włożyć mu na głowę i wytarzać mu twarz w błocie?

W *Uciekinier jedzie na zachód* Jimmy Gold znowu staje się sobą, chciał powiedzieć Rothstein. Kwintesencją siebie. Tylko że Żółty pokazał mu swoją twarz, a teraz wyjmował pistolet z prawej kieszeni kraciastej kurtki. Wydawał się zasmucony.

– Stworzyłeś jednego z najwspanialszych bohaterów literatury amerykańskiej, a potem go obsrałeś – powiedział Morrie. – Ktoś, kto jest do tego zdolny, nie zasługuje, żeby żyć.

Gniew zawrzał w Rothsteinie jak miła niespodzianka.

– Jeśli tak uważasz, to znaczy, że nie rozumiałeś z tych książek ani słowa.

Morrie wycelował pistolet. Wylot lufy był czarnym okiem.

W odpowiedzi Rothstein wymierzył w niego swój poskręcany artretyzmem palec, jakby również miał broń. Poczuł satysfakcję, kiedy Morrie mrugnął i nieco się wzdrygnął.

– Nie wciskaj mi tu swojej durnej krytyki literackiej. Dość już się tego nasłuchałem, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie. Ile ty w ogóle masz lat? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia trzy? Co ty wiesz o życiu, nie wspominając o literaturze?

– Wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że nie każdy się sprzedaje. – Rothstein ze zdumieniem dostrzegł łzy w tych irlandzkich oczach. – Nie praw mi kazań o życiu, skoro od dwudziestu lat kryjesz się przed światem jak szczur.

Ta stara krytyka – „jak śmiesz odchodzić od Stolika Sław?” – sprawiła, że złość Rothsteina rozgorzała pełnią gniewu, takiego gniewu z rzucaniem szklankami i rozbijaniem mebli, który rozpoznałyby Peggy i Yolande – i bardzo się z tego cieszył. Lepiej umrzeć we wściekłości, niż kulać się i błagać o litość.

– W jaki sposób spieniężysz moją twórczość? Zastanawiałeś się nad tym? Zakładam, że tak. I na pewno rozumiesz, że równie dobrze mógłbyś próbować sprzedać skradziony notatnik Hemingwaya albo obraz Picassa. Ale twoi koledzy nie są tacy wykształceni, prawda? Poznają to po tym, jak mówią. Czy wiedzą to, co ty? Na pewno nie. Ale ty wcisnąłeś im czek bez pokrycia. Obiecałeś im gruszki na wierzbie i powiedziałeś, że wszyscy się nimi najedzą. Myślę, że jesteś do tego zdolny. Myślę, że masz do dyspozycji całe jezioro słów. Ale, moim zdaniem, to płytkie jezioro.

- Zamknij się. Gadasz jak moja matka.
- Jesteś pospolitym złodziejem, kolego. I do tego głupim, bo kradniesz coś, czego nie można sprzedać.
- Zamknij się, geniuszu. Ostrzegam cię.

A jeśli pociągnie za spust? – pomyślał Rothstein. Koniec lekarstw. Koniec wypominania sobie przeszłości, pobożowska zniszczonych związków, zostawionych po drodze jak rozbite samochody. I koniec z obsesyjnym pisaniem, koniec z gromadzeniem tych notesów jak kupek króliczego gówna rozsianych wzdłuż leśnej ścieżki. Kulka w łeb może wcale nie byłaby taka zła. Lepsza niż rak albo alzheimer, ten największy postrach każdego człowieka, który zawsze zarabiał na życie intelektem. Oczywiście pojawią się nagłówki, było ich mnóstwo jeszcze przed tym cholernym artykułem w „Time”... Ale jeśli pociągnie za spust, nie będę ich musiał czytać.

– Jesteś głupi – rzucił. Naraz ogarnęła go swoista ekstaza. – Masz się za mądrzejszego niż tamci dwaj, ale to nieprawda. Oni przynajmniej rozumieją, że gotówkę można wydać. – Nachylił się i spojrzał w tę bladą, piegowatą twarz. – Wiesz co, dzieciaku? To właśnie przez takich jak ty czytelnictwo pada.

- Ostatnie ostrzeżenie – powiedział Morrie.
 - Pieprzyć twoje ostrzeżenie. I pieprzyć twoją matkę. Albo mnie zastrzel, albo won z mojego domu.
- Morris Bellamy go zastrzelił.

2009

Do pierwszej kłótni o pieniądze w domu Saubersów – a w każdym razie pierwszej, którą słyszały dzieci – doszło wieczorem dziewiątego kwietnia 2009 roku. Nie była to duża kłótnia, ale nawet największy sztorm zaczyna się od łagodnego wietrzyka. Peter i Tina Saubers byli w salonie. Pete odrabiał lekcje, a Tina oglądała *SpongeBoba* na DVD. Te odcinki oglądała już wcześniej, i to wiele razy, ale nigdy jej się nie nudziły. Całe szczęście, bo obecnie w domu Saubersów nie było dostępu do Cartoon Network. Tom zrezygnował z kablówki dwa miesiące wcześniej.

Tom i Linda Saubersowie byli w kuchni. On właśnie zapinał swój stary plecak, do którego załadował parę batonów energetycznych, plastikowy pojemnik z pokrojonymi warzywami, dwie butelki wody i puszkę coli.

– Oszalałeś – powiedziała Linda. – Zawsze wiedziałam, że masz osobowość typu A, ale to już przesada. Chcesz nastawić budzik na piątą? Proszę bardzo. Zabierzesz Todda, będziesz pod City Center przed szóstą, a i tak staniesz w kolejce pierwszy.

– Chciałbym – odparł Tom. – Todd mówi, że w zeszłym miesiącu w Brook Park były targi pracy i ludzie zaczęli się ustawiać poprzedniego dnia. Poprzedniego dnia, Lin!

– Todd mówi różne rzeczy. A ty go słuchasz. Pamiętasz, jak mówił, że Pete i Tina będą zachwyceni tą imprezą z monster truckami...

– To nie są monster trucki, koncert w parku ani pokaz fajerwerków. Tu chodzi o nasze życie.

Pete podniósł wzrok znad pracy domowej i na moment spojrzał młodszej siostrze w oczy. Wzruszenie ramion Tiny mówiło wszystko: cali nasi rodzice. Pete wrócił do algebry. Jeszcze cztery zadania i będzie mógł pójść do Howiego. Ciekawe, czy Howie ma nowe komiksy. Pete nie miał nic na wymianę; jego kieszonkowe spotkał ten sam los co kablówkę.

W kuchni Tom zaczął chodzić tam i z powrotem. Linda dogoniła go i lekko chwyciła za ramię.

– Wiem, że chodzi o nasze życie – powiedziała.

Mówiła cicho, częściowo dlatego, żeby nie usłyszały jej dzieci i nie zaczęły się denerwować (wiedziała, że Pete już się denerwuje), a częściowo, żeby ostudzić nastrój. Rozumiała, co czuje Tom, i sercem była z nim. Strach jest zły. Poczucie upokorzenia, że nie można wypełnić tego, co uważa się za swój podstawowy obowiązek – utrzymanie rodziny – jest jeszcze gorsze. Zresztą „upokorzenie” to niewłaściwe słowo. Tom odczuwał wstyd. Przez dziesięć lat pracował w agencji nieruchomości Lakefront Realty, zawsze był jednym z najlepszych handlowców, jego uśmiechnięte zdjęcie często wisiało przy wejściu do lokalu. Pieniądze, które zarabiała Linda, ucząc w trzeciej klasie podstawówki, były tylko dodatkiem. A potem jesienią 2008 roku pod gospodarką zapadł się grunt i

Saubersowie mieli już tylko jednego żywiciela.

Toma nie zwolniono bynajmniej z perspektywą powtórnego zatrudnienia, jeśli sytuacja się polepszy. Siedziba Lakefront Realty była teraz pustym budynkiem pomazanym graffiti, przed którym wisiała tablica: SPRZEDAM LUB WYNAJME. Bracia Reardonowie, którzy odziedziczyli interes po ojcu (on zaś po swoim ojcu), mocno inwestowali na giełdzie i gdy załamał się rynek, stracili prawie wszystko. Lindy wcale nie pocieszało to, że Todd Paine, najlepszy przyjaciel Toma, jedzie na tym samym wózku. Uważała, że Todd to dureń.

– Widziałeś prognozę pogody? Bo ja tak. Będzie zimno. Rano mgła znad jeziora, może nawet marznąca mżawka. Marznąca mżawka, Tom!

– Dobrze. Oby się sprawdziło. Przyjdzie mniej ludzi i będę miał większe szanse. – Chwycił ją za ramiona, ale łagodnie. Bez potrząsania, bez krzyków. To było później. – Muszę coś znaleźć, Lin. A te targi to najlepsza okazja tej wiosny. Szukałem roboty już wszędzie...

– Wiem...

– I guzik. Nie ma nic. To znaczy jasne, jest trochę pracy w porcie albo na budowie centrum handlowego koło lotniska, ale wyobrażasz mnie sobie w czymś takim? Mam piętnaście kilo nadwagi i od dwudziestu lat nie jestem w formie. Może latem znalazłbym coś w centrum, jakąś robotę w biurze, jeśli sytuacja trochę się poprawi... Ale to by była słabo płatna posada i raczej tymczasowa. Dlatego jedziemy tam z Toddem o północy i będziemy stać w kolejce aż do rana, kiedy otworzą drzwi. I obiecuję, że wrócę z pracą, która daje prawdziwe pieniądze.

– I z bakcylem, którym wszyscy się zarazimy. A wtedy zaczniemy oszczędzać na jedzeniu, żeby było na lekarza.

Właśnie wtedy naprawdę się na nią zdenerwował.

- Nie zaszkodziłoby mi trochę wsparcia.
- Na litość boską, Tom, przecież próbuję...
- Mogłabyś mnie nawet poklepać po plecach. „Brawo, Tom. Świetnie, że wykazujesz inicjatywę. Cieszymy się, że dajesz z siebie wszystko dla rodziny, Tom”. Coś w tym stylu. Chyba że oczekuję za wiele.

– Chodzi mi tylko o to...

Ale drzwi kuchenne otworzyły się i zamknęły, zanim zdążyła dokończyć. Tom poszedł za dom zapalić papierosa. Tym razem, kiedy Pete podniósł wzrok, na twarzy Tiny zobaczył zmartwienie i niepokój. Przecież miała dopiero osiem lat. Uśmiechnął się i puścił oko do siostry. Odpowiedziała niepewnym uśmiechem, a potem wróciła do wydarzeń w podwodnym królestwie Bikini Dolnego, gdzie ojcowie nie tracą pracy i nie podnoszą głosu, a dzieci nie tracą kieszonkowego. Chyba że są niegrzeczne.

. . .

Tego wieczoru przed wyjazdem Tom zaniósł córeczkę na górę do sypialni i ucałował ją na dobranoc. Dołożył drugiego buziaka dla Pani Beasley, ulubionej lalki Tiny.

- To na szczęście – powiedział.
- Tatusiu, czy wszystko będzie dobrze?
- Jasne, skarbie. – Zapamiętała to. Tę pewnośc w jego głosie.
- Wszystko będzie jak się patrzy. A teraz idź spać.

Wyszedł normalnym krokiem. To również zapamiętała, bo to był ostatni raz, gdy widziała, jak tak chodzi.

. . .

U szczytu stromego podjazdu od Marlborough Street na

parking przed City Center Tom zawołał:

- O rany! Czekaj, zatrzymaj się!
- Nie mogę, za mną są samochody – odparł Todd.
- Tylko na sekundę.

Tom uniósł telefon i sfotografował ludzi stojących w kolejce. Była ich już setka. Co najmniej. Nad wejściem do hali wisiał baner z napisem: GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY! oraz *Popieramy ludzi z naszego miasta!* – BURMISTRZ RALPH KINSLER.

Za pordzewiałym subaru Todda z 2004 roku ktoś zatrąbił.

– Tommy, nie chcę ci psuć zabawy, gdy uwieczniasz to wspaniałe wydarzenie, ale...

– Jedź, jedź. Już zrobiłem. – Kiedy Todd wjechał na parking, gdzie większość miejsc najbliższej budynku była już zajęta, Tom dodał: – Muszę pokazać to zdjęcie Lindzie. Wiesz, co powiedziała? Że gdybyśmy przyjechali o szóstej, byłibyśmy pierwsi w kolejce.

– Mówiłem ci, chłopie. Toddzisko nie kłamie. – Toddzisko zaparkował. Silnik subaru pierdnął, zipnął i zgasł. – O świcie będzie tu parę tysięcy ludzi. I telewizja. Wszystkie stacje. City at Six, Morning Report, MetroScan. Może zrobią z nami wywiad.

– Mnie wystarczy jakaś praca.

Co do jednego Linda miała rację: było wilgotno. W powietrzu czuło się zapach jeziora, tę lekko ściekową woń. I było zimno. Tom prawie widział parę z własnego oddechu. Rozstawiono słupki z żółtą taśmą z napisem NIE PRZEKRACZAĆ, które wyginały tłum szukających pracy w tę i z powrotem niczym miech ludzkiego akordeonu. Tom z Toddem zajęli miejsca między ostatnimi słupkami. Za nimi natychmiast ustawili się inni ludzie, głównie mężczyźni. Jedni mieli robociarskie kurtki

z grubego polaru, inni – płaszcze à la Pan Biznesmen i fryzury à la Pan Biznesmen, które zaczynały tracić formę. Tom domyślał się, że do świtu kolejka dojdzie aż na koniec parkingu, a do otwarcia drzwi i tak zostaną jeszcze cztery godziny.

Zwrócił uwagę na kobietę z dzieckiem w nosidełku na piersiach. Stała parę zakrętów kolejki dalej. Zastanawiał się, jak wielkiej trzeba desperacji, żeby przyjść tu z niemowlakiem w środku zimnej, wilgotnej nocy. Z kobietą rozmawiał barczysty mężczyzna ze szpiworem przewieszonym przez ramię. Małeństwo spoglądało to na niego, to na nią, niczym najmniejszy fan tenisa na świecie. Dość to było komiczne.

– Rozgrzejemy się, Tommy? – Todd wyjął z plecaka półlitrowkę bell's i właśnie mu ją podawał.

Tom prawie odmówił, pamiętając, co Linda rzuciła mu na pożegnanie – „Żebyś tylko nie poczuła od ciebie gorzały, kiedy wrócisz” – a potem wziął butelkę. Zimno, więc łyček nie zaszkodzi. Poczuł, jak whisky spływa mu do gardła, rozgrzewa przełyk i żołądek.

Zanim podejdiesz do jakiegoś stoiska, przepłucz usta, powiedział sobie. Nikt nie zatrudni gościa, który cuchnie whisky.

Kiedy Todd znów go poczęstował – to było koło drugiej – Tom odmówił. Ale gdy o trzeciej padła kolejna propozycja, wziął butelkę. Sprawdziwszy zawartość, stwierdził, że Toddzisko bynajmniej nie żałuje sobie na rozgrzewkę.

A co tam, pomyślał, a potem wypił znacznie więcej niż mały łyk. Tym razem był to solidny haust.

– Zuch chłopak – skomentował Todd ociupinkę już niewyraźnie. – Posłuchaj wewnętrznego diabełka.

Napływali kolejni poszukiwacze pracy, ich auta powoli brnęły od strony Marlborough Street przez gęstniejącą mgłę.

Kolejka kończyła się daleko za słupkami i nie biegła już zygakiem. Do tej pory Tomowi wydawało się, że rozumie trudności ekonomiczne, jakie obecnie nękały ten kraj – przecież sam stracił pracę, i to bardzo dobrą – ale w miarę jak nadjeżdżały następne samochody, a kolejka rosła (nie widział już jej końca), zyskiwał nową, przerażającą perspektywę. Może „trudności” to nieodpowiednie słowo. Właściwym było: „katastrofa”.

Po jego prawej ręce, wśród labiryntu słupków i taśm wiodących do ciemnej hali, rozpląkał się tamten niemowlak. Tom spojrzał w jego stronę. Mężczyzna ze śpiworem podtrzymywał boki nosidełka, żeby kobieta (Boże, pomyślał Tom, to chyba jeszcze nastolatka) mogła wyjąć malucha.

– Sso jess, kurwa? – zapytał Todd jeszcze bardziej niewyraźnie niż dotychczas.

– Dziecko – odparł Tom. – Kobieta z dzieckiem. Dziewczyna z dzieckiem.

Todd zerknął w tamtą stronę.

– Ja cię kręcę – powiedział. – Co za nieodpy... niedopo... No wiesz, lekkomyślność.

– Upiłeś się?

Linda nie lubiła Todda, nie dostrzegała jego zalet, i w tej chwili Tom też nie był przekonany, że je widzi.

– Troszeszke. Ale wytrzeźwieję, zanim otworzą. Zresztą mam miętówki.

Tom chciał spytać, czy Toddzisko zabrał też krople Visine – miał solidnie zaczerwienione oczy – ale uznał, że w tym momencie nie będzie prowadził takich dyskusji. Spojrzał z powrotem w kierunku kobiety z płaczącym dzieckiem. W pierwszej chwili myślał, że zniknęli. Potem jednak popatrzył niżej i zobaczył, że dziewczyna z maluchem na piersi wsuwa

się do śpiwora barczystego mężczyzny. Ten zaś przytrzymał wlot. Dziecko ciągle darło się wniebogłosy.

– Nie możecie uciszyć tego bachora?! – zawołał jakiś mężczyzna.

– Powinno się wezwać opiekę społeczną – dodała kobieta.

Tom przypomniał sobie Tinę w tym wieku, wyobraził ją sobie w ten zimny, mglisty poranek i musiał się powstrzymać, żeby nie kazać im się zamknąć... a najlepiej pomóc tej matce. Przecież wszyscy jadą na tym samym wózku, prawda? Wszystkich spotkał ten sam porąbany pech.

Płacz osłabł i ucichł.

– Pewnie go karmi. – Todd ścisnął się za pierś, żeby to zademonstrować.

– Aha.

– Tommy?

– Co?

– Wiesz, że Ellen straciła pracę, prawda?

– Jezu, nie. Nie wiedziałem.

Tom udał, że nie widzi strachu w twarzy Todda. Ani jego wilgotnych oczu. Może to od gorzałki lub z zimna. A może nie.

– Powiedzieli, że do niej zadzwonią, gdyby się poprawiło, ale mnie mówili to samo, a już pół roku nie mam pracy. Spieniężyłem polisę. Już wszystko poszło. Wiesz, ile nam zostało w banku? Pięćset dolców. A wiesz, na ile starczy pięćset dolców, skoro chleb w supermarkecie kosztuje dolara?

– Nie na długo.

– Właśnie, kurwa, nie na długo. Muszę tu coś znaleźć. Muszę.

– Znajdziesz. Obaj znajdziemy.

Todd wskazał głową barczystego mężczyznę, który teraz chyba pilnował śpiwora, żeby nikt przez przypadek nie nadepnął

na kobietę i dziecko.

– Myślisz, że są małżeństwem?

Tom nie zastanawiał się nad tym. Teraz pomyślał.

– Pewnie tak.

– To znaczy, że oboje są bez pracy. Inaczej któreś zostałoby z dzieckiem.

– Może uznali, że przychodząc z dzieckiem, będą mieli większe szanse.

Todd się rozpromienił.

– Gra na litość! Niezły pomysł! – Wyciągnął rękę z butelką.

– Chcesz łyka?

Tom wypił odrobinę. Jak ja tego nie zrobię, pomyślał, to Todd na pewno.

. . .

Ze wspomaganej alkoholem drzemki zbudził Toma entuzjastyczny okrzyk:

– Odkryto życie na obcych planetach!

Dowcipną uwagę nagrodziły śmiechy i brawa.

Rozejrzał się i zobaczył, że nastał dzień. Szary, mglisty, ale jednak dzień. Za barierą drzwi hali facet w szarym kombinezonie

– farciarz, który miał pracę – pchał kubeł z mopem przez hol.

– Co jest? – zapytał Todd.

– Nic – odparł Tom. – To tylko woźny.

Todd spojrzał w stronę Marlborough Street.

– Jezu, wciąż ich przybywa.

– Aha – przyznał Tom.

A gdybym posłuchał Lindy, pomyślał, stalibyśmy na końcu kolejki, która ciągnie się stąd do Cleveland. To była dobra myśl, zawsze dobrze robi utwierdzić się w swojej racji, żałował

jednak, że nie odmówił whisky. W ustach czuł taki niesmak, jakby jadł żwir z kociej kuwety. Nie żeby kiedyś próbował, ale...

Ktoś parę zakrętów dalej – niedaleko śpiwora – zapytał:

– Czy to benz? Wygląda jak benz.

Tom zobaczył długi kształt przy wlocie podjazdu od Marlborough Street. Żółte światła przeciwmgielne świeciły jasno. Samochód się nie poruszał, po prostu tam stał.

– Co on wyrabia? – zapytał Todd.

Kierowca następnego auta najwyraźniej zadawał sobie to samo pytanie, ponieważ wcisnął klakson – długie, wściekle trąbienie sprawiło, że ludzie drgnęli, parsknęli i rozejrzeli się. Przez moment samochód z żółtymi lampami przeciwmgielnymi się nie ruszał. A potem wystrzelił naprzód. Nie na lewo, w stronę przepełnionego już parkingu, ale wprost na ludzi zamkniętych w labiryncie słupków i taśm.

– Hej! – krzyknął ktoś.

Tłum zafalował do tyłu. Tom został pchnięty na Todda, który upadł na tyłek. Tom próbował zachować równowagę, już mu się to prawie udało, ale wtedy facet przed nim – krzycząc, nie, wrzeszcząc! – wpadł mu tyłkiem w krocze i, wymachując ręką, walnął go łokciem w tors. Tom upadł na swojego kumpla, usłyszał chrzęst tłukącej się między nimi butelki bell's i poczuł ostrą woń resztki whisky, która popłynęła po ziemi.

Świetnie, teraz będę cuchnął jak speluna w sobotni wieczór.

Dźwignął się na nogi w samą porę, żeby zobaczyć, jak samochód – to rzeczywiście był mercedes, wielki sedan, szary jak ten mglisty poranek – pruje przez tłum, rozpycha fruwające ciała, kreśli pijany łuk. Z osłony chłodnicy ściekała krew. Po masce turlała się bosa kobieta z rozłożonymi rękami. Waliła dłońmi w szybę, chciała chwycić za wycieraczkę, chybiła i

stoczyła się na bok. Trzaskały żółte taśmy z napisem NIE PRZEKRACZAĆ. Bok wielkiego sedana uderzył ze zgrzytem w słupkę, ale auto wcale nie zwalniało. Tom zobaczył, jak przednie koła przetaczają się po śpiworze i barczystym mężczyźnie, który kucał nad nim troskliwie z uniesioną ręką.

A teraz samochód jechał wprost na niego.

– Todd! – krzyknął Tom. – Todd, wstawaj!

Wyciągnął rękę, złapał dłoń przyjaciela i pociągnął. Ktoś na niego wpadł, znów powalając go na kolana. Tom słyszał ryk silnika oszalałego auta, wyjącego na pełnych obrotach. Już bardzo blisko. Próbował się czołgać, ale jakaś stopa grzmotnęła go w skroń. Zobaczył gwiazdy.

– Tom? – Todd był teraz za nim. Jak to się stało? – Tom, co jest, kurwa?

Wylądowało na nim czyjeś ciało, a potem przygniotło go coś jeszcze, olbrzymi ciężar, który napierał, grożąc, że rozgniecie go na miazgę. Trzasnęła mu miednica. Zabrzmiało, jakby pękała sucha kość indyka. Potem napór ustał. Natychmiast zastąpił go ból ze swoim własnym ciężarem.

Tom spróbował unieść głowę. Udało mu się oderwać ją od ziemi na tyle, żeby ujrzyć tylne światła znikające we mgle. Widział połyskujące odłamki szkła roztrzaskanej półlitrowki. Widział Todda rozciągniętego na plecach, krew płynęła mu z głowy i zbierała się na asfalcie. Szkarłatne ślady opon niknęły w mglistym półmroku.

Pomyślał: Linda miała rację. Powinienem być zostać w domu.

Pomyślał: Umrę, i może tak będzie najlepiej. Bo w przeciwieństwie do Todda Paine’a nie spieniężyłem polisy.

Pomyślał: Chociaż pewnie w końcu bym to zrobił.

A potem ciemność.